

Wojciech Pszoniak: O nie, serial nie!

Maciej Sztaberek: - Podobno chciał pan zostać oficerem, potem pilotem, księdzem, muzykiem, w końcu zdecydował się pan na aktorstwo. Co sprawiło, że zrozumiał pan, że to w tym zawodzie się spełni?

Wojciech Pszoniak: - Myślę, że każdy to mniej więcej wie. Chyba że nie szuka. Ja szukałem drogi w życiu i próbowałem prawie wszystkiego. W pewnym momencie pojawiła się intuicja, przeczucie - że aktorstwo to jest właśnie to. Zapisalem się do teatru amatorskiego, a potem do studenckiego. Można powiedzieć, że to standardowa droga, jaką powinien przejść aktor.

Mówił pan kiedyś o „otwieraniu głowy” aktora przez reżysera, zamiast „grania” rozumianego jako mechaniczne odtwarzanie. Co pan przez to rozumie?

- Wszystko zależy od tego, jacy są aktor i reżyser, i jakie wymagania ma aktor. Ja oczekuję od reżysera, że nie będzie mnie musztrował i kazał mi wykonywać jakichś czynności, tylko że potraktuje mnie jako współtwórcę. Spektakl jest dziełem wspólnym. Są oczywiście reżyserzy dyktatorzy, którzy nie uznają żadnej ingerencji aktorów, ale ja bym w takim teatrze nie chciał być i do tej pory to na szczęście mi się udało.

Wspomniał pan również, że w Polsce panuje „moda” na uprzedmiotowienie aktora. Czy właśnie do tego zjawiska nawiązuje pan, mówiąc o reżyserach dyktatorach?

- Teraz, w epoce seriali i telewizji, zmieniło się podejście do pewnych spraw. Moim zdaniem, nie każdy, kto występuje na ekranie, jest aktorem. Mówi się dziś o „aktorach serialowych”. Nie ma czegoś takiego, jak „aktorstwo serialowe”. Jest albo dobry aktor, albo zły aktor! W serialu mogą grać amatorzy, każdy wzięty z ulicy. W związku z tym wszystko jest pomyłone. Każdy może być pisarzem czy premierem. Wszystko każdy może. Na tym polega kompletna zmiana wartości i punktów odniesienia.

Całą rozmowę można przeczytać w grudniowym numerze „Kalejdoskopu”.